



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 11-ej z rana do 1-ej po południu i od 4-tej po południu do 6-tej z wieczora.

Nr. 32.

Warszawa, d. 6 Sierpnia (24 lipca) 1904 r.

Rok III.

3 ŻYRARDÓW. 3

Przemysł, gdy mu rękę poda powodzenie, cudów dokazuje: z lichych, ubogich wioszczek stwarza silną, tętniącą życiem placówkę swą, ognisko dobrobytu i zarobku dla tysięcy pracowników, źródło obfite, zasilające wyrobami

kraj i zagranicę. Z hasłem postępu, rozwoju i ulepszeń wielki przemysł jest dla swej okolicy potężnym czynnikiem cywilizacyjnym.

Przykładem tego Żyrardów. Gdy w r. 1833 słynny wynalazca mechanicznego przedzenia



Ulica Parkowa w Żyrardowie.

Inu, Filip Girard, przeniósł pierwszą przedziałnię w Królestwie z Marymontu na grunta sąsiadujące z Rudą Guzowską, nad brzegiem rzeki Pisi, dziewicza ta miejscowość nie zapowiadała zgoła tego, czem się miała stać

z czasem; można było wtedy przypuszczać, że, po kilku latach, przedziałnia przeniesiona będzie gdzieindziej, gdy się tak podoba dyrektorom. Na losy Żyrardowa wpłynął dodatnio, w samym zaraniu, Henryk hr. Łubieński, dyrektor

Banku polskiego, istotny twórca przemysłu naszego, umysł dzielny, w połączeniu z obywatelskimi tendencjami. On to ugruntował istnienie Żyrardowa.

Z upadkiem Henryka Łubieńskiego zakłady przemysłowe, zależne od Banku polskiego, przeszły w ręce przedsiębiorców prywatnych. Żyrardów nabyli, na dogodnie rozpłaty, kupcy-



Biuro zakładów przemysłowych „Żyrardów”.

specjaliści w dziale przędzy lnianej, Niemcy Austriacy, p.p. Hiele i Dittrich. Pod ich sterem zakłady fabryczne zakwitły, zjednały sobie szeroki rozgłos i klientelę bodaj wszechświatową. Pod względem ilości warsztatów, obrabiających len, fabryka żyrardowska staje się pierwszą na świecie.

Po zgonie nabywców, syn Dittricha, Karol, prowadził długo zakłady fabryczne, które w r. 1885 przeszły na własność Towarzystwa akcyjnego, ocenione na 9,000,000 rb.

Przed kilku laty p. Dittrich usunął się od steru przedsięwzięcia i wyjechał do Drezna; nad interesami zaś Żyrardowa czuwa rada z prezesem, p. Edwardem Herbstem na czele. Fabryką zarządzają trzej dyrektorowie, p.p. Juljusz an Haack i Wilhelm Haupt—Niemcy, tudzież p. Tomasz Garvie—Anglik.

Fabryka jest żywicielem, dobrodziejem Żyrardowa, Rudy i okalających je wiosek. Gmachy zakładów przemysłowych i mieszkań urzędników tworzą dzielnicę, zamkniętą w sobie, starannie utrzymaną na modłę ognisk wielkich, niemal piękną, jak stwierdza widok ulicy Parkowej; gdy poza tym—na samym wjeździe do osady—rzuca się w oczy nędzny stan bruku i chodników, a wieczorami liche oświetlenie, co nie jest bynajmniej winą urzędu gminnego, lecz taktyki obywateli osady i wsi Rudy.

„Fabryka niech łoży na wszystko, stać ją na to! Fabryka—to dojna krowa, dójmy ją więc!”

Fabryka daje *prawie* wszystko, co dawać swym robotnikom powinna, dała nawet wiele rzeczy dobrych dla ogółu mieszkańców ale nie tylko nie ma obowiązku troszczyć się o zaspokojenie wszystkich potrzeb tego ogółu, lecz nawet nie zdołałaby im może podolać.

Zakłady zatrudniają przeszło 8,000 robotników, w tej liczbie Niemców procent niewielki, lecz, za to, zajmują oni przeważnie miejsca lepsze, suciej płatne: podmajstrzych, rzemieślników; nie dopuszczają do pomocy tubylców, aby, nauczywszy się roboty, nie wysunęli naprzód. Dyrektorowie-Niemcy popierają swoich rodaków.

Dziwnie wobec tego, wyglądają słowa dyrektora - Anglika w wywiadzie, drukowanym w r. z. w „Kraju”:

„Pod względem zdolności polski robotnik nie pozostawia nic do życzenia”.

Skoro tak, to, panie dyrektorze, nie obsadzajcie posad Niemcami.

Na wybitnych stanowiskach w Żyrardowie z Polaków są: jednym z prokurentów p. Alfred Husarzewski, sekretarzem zarządu p. Feliks Giebułtowski, wreszcie p. Józef Wątróbski syn b. dyrektora zakładów żyrardowskich), chemik, kierownikiem farbiarni. Urzędników Polaków *mniejszość*, około 60.

Średnio, w normalnych warunkach, zarobek fachowców prawdziwych wśród robotników dosięgał 1 rb. 50 kop. dziennie; mężczyźni,



Pałacyk w parku żyrardowskim.

mniej fachowi, zarabiali po rb. 5 kop. 40 tygodniowo; kobiety po 60 — 70 kop. dziennie.

Wobec stagnacji, wywołanej wypadkami na Dalekim Wschodzie, zmniejszono obecnie czas pracy w oddziałach wyrobów lnianych o dwie godziny dziennie, w oddziałach wyrobów bawełnianych, prócz tego, próżnuje się przymusowo w soboty.

Tylko oddziały lniane, wyrabiające grube płótna, są w pełnym ruchu z powodu zamówień rządowych dla wojska.

Oprócz zarobku na co mogą liczyć robotnicy żyrdowscy?..

W dużym gmachu piętrowym mieszczą się ochronki, w których w r. z. znajdowało się 1,110 dzieci robotniczych pod opieką 30-tu kierowniczek. Ochronkami zarządzają: panna Brzozowska — oddziałem polskim — i pani Roesler — oddziałem niemieckim; w pierwszym 13 klas z 900 dziećmi, w drugim — 3 z 120 dzieci. Metoda froeblovska znajduje tu szerokie zastosowanie. W zimie dostają dzieci w ochronie porcję zupy z kawałkiem chleba za 2 kop., sieroty zaś bezpłatnie. Utrzymanie ochron kosztuje około 30,000 rb. rocznie.

Gmach szkoły, w pobliżu kościoła, jeszcze większy i okazalszy.

Fabrycznych szkółek elementarnych jest tu 27, uczyło się w nich, bezpłatnie, w r. z. około 2,500 dzieci; 13 nauczycieli i 14 nauczycielek pracuje z temi zastępami. Na szkoły wydaje T-wo około 23,000 rb. rocznie.

Gmach szpitalny z urządzeniami i obszerny, że pozazdrościłoby niejedno miasto większe na prowincji: łóżek 80, sale: chirurgiczna, opatrunkowa, oddział dla chorych umysłowo (na 18 osób), odosobniony oddział dla chorób zakaźnych, ambulatorjum dla przychodnych, biblioteczka dla chorych. Chorych bywa do 600 rocznie. Sale czyste, porządne, oświetlone elektrycznością. Utrzymanie szpitala z postron-



Szpital w Żyrardowie.

ną pomocą lekarską pociąga koszt 60,000 rb. Lekarz główny, dr. Aleksander Szulc, ordynatorowie d-rowie: Józef Smólski, Zenon Tokarski i Marjan Wilczyński.

W przytułku dla starców dolne pokoje zajmują robotnice, górne robotnicy. Wszędy czystość wzorowa.

Kasa pomocy dla robotników rozporządza dużym kapitałem, pomnożonym w r. 1902 przez zapomogę — 25,000 rb. Instytucja Karola-Augusta Dittricha dla zasłużonych robotników otrzymuje rb. 8,000 rocznie; zapomogi dla położnic wyniosły w r. 1902-m 3,700 rb., kąpiele i pralnie kosztowały 12,000 rb.

Ogółem, jak zaznaczył wysłaniec „Kraju”, na podstawie sprawozdania rocznego, Towa-



Resursa w Żyrardowie.

zystwo żyrdowskie wydało w roku 1902 — na polepszenie bytu swych pracowników — 205,000 rb.

Bez kwestji, uczyniono wiele, ale nie wszystko.

Robotnicy żyrdowscy nie mają sali, w którejby mogli spędzać czas, wolny od zajęć, na rozrywce godziwej: inteligencja, wyżsi oficjaliści posiadają swoją resursę. W sali, pięknie udekorowanej przez malarza p. Trenklera, odbywają się bale, koncerty, przedstawienia amatorskie, polskie i niemieckie, popisy polskiego chóru śpiewaków i niemieckiego „Gesangvereinu”.

Czy w resursie odbył się kiedy odczyt — o tym dzieje jej milczą.

Nie mają też robotnicy miejsca odpowiedniego na spacer i majówki, gdy las poblizki — własność p. Sobańskiego — i park wspaniały p. Dittricha są dla nich niedostępne wobec zakazanego tam wstępu.

Nie mają też te gromady robocze, do swego użytku, *czytelní bezpłatnych*; gdyż z czytelní resursowych (polskiej i niemieckiej, każda po kilka tysięcy tomów) korzystać mogą tylko oficjaliści, za opłatą po kop. 30 miesięcznie.

Szkoda tym większa, że lud nie ma co czytać, gdy w Żyrardowie rzadko spotka się

analfabetę, a jak stwierdzają tubyley: „lud to ciekawy i chętnie garnie się do książki”.

Obsługa księgarska, kolportaż, nie oddawna dopiero zjawiają się w Żyrardowie. Dwie księgarnie (z tych jedna żydowska) prowadzone są z jedyną troską o zysk właścicieli; jedna z nich posiada czytelnię, zaopatrzoną (?) w liche romansidła, marnie tłómaczone z francuskiego; dla treści erotyczno-pornograficznej są one rozchwytywane łakomie przez niekrytycznych czytelników. Tym bardziej należy takiej czytelnicy przeciwstawić wyborowy księgozbiór publiczny.

Przed rokiem otworzyła czytelnię p. Wodkowska, osoba inteligentna i dobrej woli; w księgozbiórze, na początek niedużo dzieł, ale cenne, godne oddania w ręce maluczkich—więc powodzenia i rozrostu czytelnicy życzymy p. W. z całego serca.

Co może kolportaż umiętny, dowiódł tego p. A. Modrzejewski, otworzywszy w swym sklepie agenturę „Dziennika dla wszystkich”, pozyskał dlań przeszło 40 odbiorców z grona robotników, którzy nigdy poprzednio nie mieli swej gazetki.

(Dok. nast.)

Karol Hoffman.

PIOTR LOTI.



INDJE.



w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

VIII.

U księcia Radżputu.

Lando o uprząży wytwornej, które z rozkazu króla Odeypuru przybyło po mnie do „domku podróżniczego”, przebiega galopem skraje piaszczyste, obrzeżone balustradą i gęstemi krzewami różanemi. Jesteśmy na wybrzeżu jeziora, na skale, gdzie wznoszą się amfiteatrem pałace królewskie. Tu i owdzie słonie marmurowe wynurzają się z liści i kwiatów. W spadku gwałtownym, przy zakrętach szalonych, czujesz się porwanym przez pęd niefrasowny dwóch bestji dzielnych i rośliwych—i to pole widzenia szybko się rozszerza; szybko rozściela się przed tobą gaik uroczy i jezioro błękitne z wysepkami, stanowiącemi inne pałace, gdy ściana gór i lasów, która jest jakby tłem tajemniczym, malowanym, dla reszty rzeczy Odeypuru, zda się wraz z tobą unosić.

Maharadża ów, książę Meswaru, do którego się dziś udaję, należy do najstarszej i najbardziej dostojnej ze wszystkich rodzin królewskich krainy radżpuckiej; jest on w prostej linii następcą *rasy słonecznej*. Wiele, wiele wieków przedtem, nim wyszły z mroków najstarsze narody królewskie Europy, przodkowie jego porwali za oręż, by podbijać państwa lub wyzwalać królowe uwięzione. *)

Ubóstwiony rycerz Rama, patriarcha *rasy słonecznej*, jak o tym podaje *Ramayana*, miał dwu synów, z których starszy założył Lahorę. Potomkowie drugiego, w połowie II-go stulecia, rozciągnęli władzę i na plemiona radżpuckie; wielki atoli najazd dzikich ludów Północy wyciął w pień w 524 r. wszystkich książąt tej rodziny; pozostała jedynie jedna królowa, która odbywała naówczas pielgrzymkę; miała ona zostać matką i ukryła się w pieczarach, gdzie umarła, wydawszy na świat syna. Dziecię przygarnęli nabożni bramini; trudno je było jednak wychować, gdyż krew królewska gnąła je na dzikie wyprawy do Bilów górskich; ci też wkrótce okrzyknęli go wodzem, a jeden z wojowników bilskich, odciąwszy sobie palec, naznaczył krwią jego czoło, czyniąc go pomazańcem królewskim. W r. 723 potomkowie tego syna pieczar utwierdzili się tu ostatecznie, jako władcowie; ród ich panuje tu aż do dzisiaj—i dziś jeszcze, po trzynastu wiekach, zachowano tu, w Odeypurze, zwyczaj namaszczenia krwią czoła każdego nowego króla, ręką dzikiego Bila, na pamiątkę krwawych pierwocin.

Lando zatrzymuje się w podwórzu wewnętrznym, wysadzonym palmami i cyprysami, gdzie przyjmuje nas oficer dworski w białej szacie.

Książę, jak wszyscy książęta Indji, posiada kilka pałaców; ten, który naprzód pokazują, jest w stylu spóczesnym: ma sale, po europejsku

*) Wyprawa cejlońska, o której wzmianka w *Ramayanie*.

urządzone, lustra, konsole, uginające się pod srebrami, bilardy i t. p. Wszystko to w tym mieście, tak z gruntu indyjskim, uderza niespodzianie.

Sam atoli Maharadża przekłada starą siedzibę swych przodków; w niej ma udzielić audjencji — i pora już tam się udać.

Przerzynamy naprzód wiele ogrodów i kurytarzy tajemnych. I oto naraz, po przebyciu wielkiej bramy łukowej z oddrzwiami miedzianymi — tłum wielki, krzyki, muzyka ogłuszająca: jesteśmy w olbrzymim podwórku, gdzie *sżran-ki do walki słoni*. Z jednej strony pałac stary góruje całą swą białą fasadą królewską, ozdobioną rzeźbami starożytnymi, niebieską porcelaną i złotymi słońcami; z drugiej strony, na przeciw muru, rząd łóż, w których słonie spętane, kołysząc się, przeżuwają trawę; pośrodku — kilkuset ludzi dzikiego wyglądu (są to górale Bilowie, przybyli na święto bóstwa), dzierzając kije, uderzają jeden o drugi, ćwicząc się tym sposobem w tańcu wojennym pod dźwięki kobz, trąb, tamtamów olbrzymich i cymbałów bronzowych. Na tarasie wreszcie setki kobiet przechylają się, by widzieć taniec; a jest to prawdziwa wystawa piękności o mrocznych oczach, o kibiciach zachwycających pod zwojami muślinów.

By dostać się do władcy, ileż to jeszcze kurytarzy pozostaje mi do przebycia, ile podwórców, gdzie kwitną i wonieją drzewa pomarańczowe pomiędzy arkadami z białego marmuru! I tyle przedsióneków, gdzie rzędy całe pantofli; we wszystkich zakątkach strażę siedzące z długimi szablami! Przejścia stłoczone, jak pułapki, małe i ciemne wschody starych świątyń, ze stopniami stromymi i ślizkami, wązkie, przestrach wzbudzające, wykute w murze lub w szczerym kamieniu. A wszędy w mroku strażę, wszędy pantofle na ziemi — i bóstwa straszne tu i owdzie z głębi nisz przeszywają nas wzrokiem. Nareszcie, przy jednych z drzwi, gdyśmy się już wspięli bardzo wysoko na rusztowanie ze skał i sal spiętrzonych, towarzyszący mi oficer zatrzymał się ze złością i ozwał głosem ścisłym:

„Tu jego wysokość“.

Wszedłem sam.

Znalazłem się w białej galerji z marmurowymi arkadami, wychodzącej na bardzo wielki

taras biały; na ziemi rozpostarto płótno śnieżnej białości; miejsce bez straży; ani jednego sprzętu, nic — prócz dwu krzeseł złożonych, podobnych do siebie, stojących obok, w tym ustroju niepokalanym, czystym, jakby napowietrzonym. I oto tu, sam—na—sam, w młodzieńcu, stojącym przede mną i wyciągającym dłoń na powitanie, poznaję tego jeźdźca, dla którego owe go wieczora fakirzy przystrajali swe lice; ubrany w prostą szatę białą z naszyjnikami z szafirów.

Na lekkich krzesłach złożonych zasiedliśmy ceremonjalnie, a za nami ulokował się tłómacz, który wszedł bez szmeru i który za każdym razem, gdy mówi, przykłada do ust serwetkę jedwabną, by oddech ust jego nie szedł ku władcy; przezorność zresztą zbyteczna, gdyż zęby jego błyszczące i oddech czysty.

Milczący ów książę, o którym wiem, że jest bardzo niedostępny, posiada czar i urok wyjątkowy; uprzejmość wytworną, połączoną z pewnego rodzaju lekliwością, którą spotyka się tylko u bardzo wielkich panów. Na wstępie raczył się dowiedzieć, czym dobrze w jego państwie traktowany, czy podobają mi się konie i powóz, które po mnie przysłano,—banalności, któremi poczyną się zwykła rozmowa, z musu niepewna, gdyż cały świat pojęć i różnych dziedziczości oddziela nas od siebie. Następnie jednak, gdyśmy przeszli do spraw Europy, kraju, z którego jadę, i Persji, do której wkrótce podążę, widziałem, ile rzeczy ciekawych dla obu moglibyśmy zamienić, gdyby nie ten mur między nami konieczny.

W trakcie atoli rozmowy dają znać księciu, że pora na wieczorną przejażdżkę po gaju, gdzie mieszkają trzej fakirzy. Tym razem książę ma okolicę całe jezioro aż do domku, gdzie codziennie zbierają się dziki; służebnicy czekają już z wielkimi parasolami azjatyckimi, by osłaniać go na tarasach, utrzymywać w cieńcu aż do miejsca, gdzie *baronowie* i rycerstwo oczekują na niego już konno.

Zanim mnie pożegnał, dał rozkaz, by pokazano mi budowany pałac i sporządzono następnie barkę do przewiezienia na wyspę, gdzie stare jego pałace.

(C. d. n.)



ZEJDŹCIE DO LUDU!...

(Dokończenie.)

II.

Zwyczaj obrzędowe.

Jakich zwyczajów przestrzegają przy urodzinach dzieci?

Czy matka po urodzeniu dziecka zostaje w domu męża czy też udaje się gdzieindziej — naprzykład z powrotem do domu matki swojej?

Czy uważa się za nieszczęście dla dziecka, gdy się urodzi w domu ojca? albo poza domem ojca?

Kiedy daje się imiona dzieciom? Kto to czyni — ojciec czy matka? krewni ojca, czy matki?

Opisz obrzędy, zachowywane przy nadawaniu imion?

Czy syn posiada więcej znaczenia, niż córka?

Czy praktykuje się przysposabianie (adoptowanie)? Z jakimi obrzędami?

Kto może przysposabiać (adoptować)? i kto może być przysposobiony (adoptowany)?

Opisz dokładnie obrzędy przy zalotach (swatach) i małżeństwie.

Czy istnieje osobny obrząd zaręczyn?

Czy żonę bierze się z sąsiedniego rodu lub wioski, czyli też z męzowskiego rodu lub jego wioski?

Czy jest nieszczęściem żenić się z osobą tego samego nazwiska?

Czy jest jaki obrząd ślubny, połączony z ogniskiem domowym?

Czy zaprasza się cały ród lub wieś na uroczystość ślubną?

Czy się składa państwu młodym podarunki?

Jaka odbywa się uczta? Jak długo trwa?

Czy oblubienica ma twarz zasłonioną? Jaki przy tym odbywa się obrząd?

Gdzie odbywa się obrząd ślubny?

Opisz dokładnie obrzędy przy śmierci i pogrzebie

Czy groby są święte?

Czy pogrzeb posiada obrząd połączony z ogniskiem domowym?

Kto bierze udział w obrzędzie pogrzebowym? Jak się odbywa zapraszanie?

Jakie ofiary czyni się przy pogrzebach? albo jakie się zachowują zwyczaje, symbolizujące ofiarę?

Podaj ludowe nazwy wszystkich zabaw, gier, zabawek, cacek, bawidełek.

Gdzie odbywają się zabawy publiczne i kto bierze w nich udział? Jedna wieś czy gmina, dwie lub więcej?

Kto nadzoruje zabawy?

Czy są przesady związane z zabawami?

Jakie odbywa się tańce i przy jakich okolicznościach?

Opisz zabawy w piłkę i zabawy ze sznurkiem.

Opisz zabawy wirowe.

Opisz zabawy ze sznurkiem lub liną.

Opisz gry w karty lub hazardowe.

Opisz zabawy, w których spółzawodniczą częścią wsi lub gminy.

Opisz wszystkie zabawy dziecięce.

Czy zwierzęta biorą udział w którychkolwiek zabawach?

Zapisz słowa pieśni lub rymowanych formuł, używanych w zabawach.

Każdy poszczególny ustęp z dziedziny folkloru, jaki się wam uda zebrać, czy to będzie zwyczaj, opowieść, wierzenie, zabobon lub przysłowie, należy jeszcze opatrzyć następującymi określeniami:

(1). Miejscowość — miasto, powiat, kraj; plemię, wieś lub osada.

(2). Data ostatniego spostrzeżenia lub zapisania.

(3). Czy jeszcze w użyciu lub jeszcze opowiadane?

(4). Od kogo otrzymane—imię i nazwisko, zajęcie, stanowisko towarzyskie?

W braku takich szczegółów zatracą się wiele z wartości zbioru; ale ponieważ każda wiadomość jest pożądaną, brak tych szczegółów nie powinien wstrzymywać zbieracza od natychmiastowego zapisania tego, co słyszał.

LEOPOLD JANIKOWSKI.



Z podróży do Afryki.



(Ciąg dalszy.)

Tragarzy miałem zawsze z plemienia „Kru” w Liberji. Towary, jakie na podarki zabierałem z sobą, składały się: z fuzji—skałkówkę i kapiszonówek, bawełnianych tkanin kolorowych, przeważnie niebieskich, w duży biały

lub żółty deseń, gdyż podobne przekładają kameruńczycy nad inne.

Dalej: olbrzymie parasole, jak baldachiny, zszywane z różnokolorowych skrawków jaskrawych materji, cylindry i kapelusze, czap-

ki wełniane, koszule flanelowe i trykotowe, szerokie szarfy niebieskie i czerwone, naszyjniki z różnokolorowych paciorków szklanych, druty mosiężne i miedziane, bransolety na ręce i nogi, kolczyki, dzwonki, lusterka, noże, scyzoryki, parasole, talerze duże i małe mosiężne, wreszcie tytoń w długich liściach, tego jak najwięcej; utartej w domu, z tegoż tytoniu, cały słoć tabaki do zażywania, mnóstwo pomady, słowem, cały kram podróżny. Wódkę, jakkolwiek bardzo pożądaną, brałem tylko dla bliższych miejscowości, oraz pewien zapas dla tragarzy. Oprócz tego prowizja: ryż dla krumanów, licząc, z dodatkiem jarzyn miejscowych, po funcie na osobę.

Jeżeli podróż nasza wypadła w okolice mniej zaludnione, zabierałem namiot z płótna żaglowego. Wyżej wymieniony towar i prowizję pakowałem w kuferki blaszane, zabezpieczające od termitów i deszczu. Jeden pakunek nie mógł ważyć więcej nad 60 funtów. Jest to największy ciężar, jaki się daje murzynowi w dalszą podróż. Mogłby nieść i więcej, lecz prędko wyczerpałby siły, szczególnie na drogach górskich.

Ubranie białe, jaknajłżejsze; niezbędną jest tylko dla Europejczyka w Afryce bielizna flanelowa lub wełniana, gdyż chroni od przeziębień przy raptownych zmianach temperatury. Na głowie hełm z drzewa korkowego, obciążony białą materją. Kask podobny nie tylko chroni od uderzeń promieni słonecznych lecz zarazem zabezpiecza głowę od rozbicia, gdy np. spadnie na nią w lesie spróchniała gałąź. Broni, t. j. karabiau, nie zabierałem z sobą; bardzo rzadko chyba, spodziewając się w danej okolicy polowania. W kuferku, na wszelki wypadek, miałem rewolwer, lecz w ręce tylko długi, hebanowy kij góralski. W kieszeniach instrumenty i notatki.

Tak zaopatrzony, wyruszałem w podróż. Jeżeli ona była daleką, liczba tragarzy dochodziła do 50. Drogi górskie są to ścieżyny wązkie, na jedną osobę, po porze deszczowej zarosłe trawą wysoką i krzakami. Naprzód zwykle szło kilku krajowców, którzy długimi nożami oczyszczali drogę.

Po obu stronach ścieżyny las dziewiczy, po większej części niedeptany jeszcze nogą ludzką, cały labirynt lijan, różnych roślin kolczastych, odstręcza często nawet murzyna od zapuszczania się w gąszcz. W dzień panuje tu wieczny półmrok, cisza, jakgdyby natura cała wypoczywała, obezwładniona promieniami słońca równikowego. Czasem ową ciszę przerwie krzyk spłoszonego ptaka, czasem świst węża, uciekającego trwożliwie z drogi i kry-

jącego się w trawy naddrożne; to znów krzyk małpek małego gatunku zwraca uwagę. Jeżeli do tych ostatnich się nie strzela, nie uciekają przed człowiekiem; przeciwnie, niezadowolone z natręta, okazywały nam to dotykalnie, sypiąc na głowy cały grad drobnych orzeszków. Dopóki droga prowadzi przez gęste lasy, cień, jaki rzucają drzewa, łagodzi upały; ale gdy się wejdzie w wysokie na kilka łokci trawy, wtedy gorąco dopiero się daje uczuć i godzina podróży pomiędzy dżunglami więcej męczy, niż kilka po zupełnie otwartej przestrzeni. Trawa tworzy dwie zbite ściany zieleni, żadnego przewiewu; małeńka ścieżka, jakby kurytarzyk na jedną osobę, a z góry sypie się prostopadle na głowy żar promieni słonecznych, które przy 40 R. są dosyć silne. Znużenie fizyczne ogarnia podróżnika już po parogodzinnej drodze, pot splywa strumieniami, pragnienie dokucza, a tu tylko manjerka z wódką, wody niema, a chociażby się i napotkało, pić ją bardzo niezdrowo: nie ugasi pragnienia, powiększy tylko transpirację a może nawet spowodzić przeziębienie. Cień drzew ma wtedy urok nieprzeparty, las pociąga ku sobie: z jakąż rozkoszą myśli się o odpoczynku na miękkiej murawie! Tylko jeden, godzinny, wypoczynek jest dozwolony w porze południowej i to głównie ze względu na tragarzy.

Miasta są dosyć odległe jedno od drugiego, trzeba się więc śpieszyć, aby zdążyć przed zachodem słońca. Jeżeli mamy po drodze jaką osadę, wtedy tam gotujemy posiłek południowy, jeżeli nie, biwakujemy wśród lasu i tam najprzyjemniej. Po posiłku wyruszamy dalej, i, już bez zatrzymywania się, stajemy u celu, starając się usilnie, aby dostać do miasta jeszcze przed zachodem słońca. Robi się to przez wzgląd na krumanów: 50 ludzi, po całodziennym marszu z ciężarem, potrzebuje dobrego, gorącego posiłku, a król, gdy już się ściemni, chociażby chciał, nieczym przyjąć nie może, gdyż ani w jego domu, ani w innych, nie znalazłby się jeden plantan lub jams. Murzynki przynoszą z rana pewną ilość jarzyn, owoców, wreszcie wody, ale tylko tyle, aby wystarczyło na cały dzień, pozostały zapas z pewnością by zjadły przez noc szczury. Wieczorem zaś żadna z kobiet nie odważyłaby się pójść na plantacje z obawy lampartów i słońi. Każdy kraj ma ściśle oznaczone swoje granice, ważniejsze zaś miasta są oprócz tego otoczone żywoptotem wysokim.

W obrębie swego miasta, na tak zwanym placu palawrowym, oczekuje król, otoczony swoją świtą, oraz cała ludność ciekawa. Jego królewska mość, ubrany odświętnie, wygląda

najczęściej bardzo śmiesznie w swym stroju. Stoi pod olbrzymim baldachinem w formie parasola. Na głowie ma bardzo wysoki cylinder starego fasonu, często otoczony blaszaną koroną, dalej mundur jaki wojskowy z epoletami lub frak, następnie zwykłą przepaskę z drogiej tkaniny i... koniec. Dolne części ubrania oraz buty uważane są za zbyt ciężkie. Na szyi, rękach, nogach, paciorki lub bransolety, w ręce kij hebanowy lub mahoniowy bardzo długi—dzida, a czasem stary pałasz kawalerski. Otoczenie jego, z dzidami, karabinami w rękach, ubrani w zwykłe przepaski lecz z odświętnych tkanin. Powitanie z królem, o ile przyjacielskie: przyciska się ramię do ramienia, prawe do prawego; innym krajowcom trzeba podać rękę co jest dosyć męczące, gdyż żaden z nich nie pominie tego zaszczytu, aby nie uścisnąć ręki „mukary.” Kobiety przynoszą nawet dzieci na ręku, które, choć krzyczą, bojąc się, zmuszone, podają rączki. Siadam w cieniu drzewa świętego, król naprzeciwno, i rozpoczynam najpierw rozmowę obojętną o okolicy, o zdrowiu króla, jego żonach, rodzinie, inwentarzu itp. Wzajemne częstowania się tabaką, winem palmowym. Dopiero po pewnym czasie kieruję rozmowę na to, po com tu przyszedł. Tłumaczę zebrany wogóle cel swoich podróży, że nie chcę od nich nic, handlu nie prowadzę, że przychodzę jako ich przyjaciel, chcę przenocować w tym mieście, a nazajutrz iść dalej do sąsiedniego kraju, że nareszcie przynoszę różne podarki dla króla, na zakład przyjaźni. Król i otoczenie słucha wszystkiego z uwagą, nie przerywając. Potym zaczynają się przemowy jako odpowiedź. Jeżeli król jest wymownym, mówi sam, w przeciwnym razie który z ludzi starszych, wpływowych, tłumaczy jego myśli. Trzeba świętej cierpliwości, aby wysłuchać wszystkiego do końca. Będzie wywodził swoją genealogję, opisywał cnoty i zasługi zmarłego poprzednika, przesadzał swoją potęgę, powiększał ilość inwentarzu itp.; potym przejdzie do swego panowania, zacznie opisywać różne zatargi, wojny z sąsia-

dami, pierwsze ich powody, będzie dowodził słuszności swych pretensji; dalej przejdzie na wspomnienia, iż on już widział białych i pamięta jakiegoś misjonarza, który był w kolonji na brzegu, i tak dalej, z tematu na temat przeskakując, będzie opowiadał o rzeczach, nie mających związku z przybyciem gościa. Otoczenie słucha zaciekawione, nie tracąc jednego wyrazu, dumne, iż miasto posiada takiego mądrego mówcę. Dopiero na samym końcu przemowy przystępuje do rzeczy, mniej więcej w tych słowach: „Dumnym jestem z tego i bardzo szczęśliwym, iż biali zawitali do mego miasta, będę waszym przyjacielem, lecz musicie u mnie dłużej zabawić: nie chcę, aby ze mnie wyśmiewali się sąsiedzi, iż nie potrafiłem białych gości dłużej nad jedną noc zatrzymać; dom dla was już został oczyszczonym, żony moje zajmą się posiłkiem, wszystko do waszego rozporządzenia.”

Powodem gościnności jest takie mniej więcej rozumowanie: „Gdy dłużej pozostanie—wyciągniemy od niego więcej podarków”. Siłą nie można nic zrobić, udając więc zadowolenie, muszę ustępować. Kończy się to rozmowie: czasem jeden dzień tylko przymusowego wypoczynku a czasem tydzień, i więcej, gdy król potężny a uparty. Po skończonych przemowach, przenosimy się do domu; zajmujemy jego część najlepszą. Jeżeli dom posiada groby, te są najwygodniejszymi łóżkami, gdyż wzniesione nad ziemią, suche. Na nich rzucone maty, kołdry, worek z ryżem lub paczka z płótnem, pod głowę i pościel gotowe. Otaczam się naokoło barykadą z kuferków, naokoło znów kuferków układają się na matach tragarze i nareszcie mogę wypocząć. Wypocząć! gdybyż nas zostawili w spokoju. Ale tu zaraz zjawia się gospodarz i przynosi drobne podarki, np. parę kur, kozę lub coś podobnego, przyrzekając nazajutrz ofiarować więcej, gdyż inwentarz jego dopiero na noc wraca z lasu do domu.

(C. d. n.)



Paprocie.

(Dokończenie.)

Wiele gatunków paproci znajduje zastosowanie w medycynie, mianowicie kłęcz paprotki samczej używa się jako środek przeciwko wewnętrznikom, pod nazwą „Rhizoma Filicis“; południowo europejskie włoski murowe znane są w farmaceutyce jako „Herba Capilli Veneris“. *Adiantum pedatum* dostarcza lekarstwa, zwanego „Folium Adianti“. Jedwabiste brunatne włoski, obrastające ogonki liściowe wielu paproci, szczególnie u *Cibotium Barometr*, służą do wyrobu waty opatrunkowej, zwanej *Paleae haemostaticae*.

Pod względem historycznym paproć jest jedną z najstarożytniejszych rodzin roślinnych na naszym globie. Ślady pierwszych paproci znajdujemy już w najstarszym okresie paleozoicznym, w trzeciej jego, epoce, dewońskiej.

Pierwsza z paproci „*Psilophyton*“ wyrosła na gruncie, przygotowanym przez jedyne jej na ziemi poprzedniczki: najniższe skrytokwiatowe roślinki epoki kambryjskiej i sylurskiej. Za nią pojawiły się inne gatunki paproci, tworzące wraz ze skrzypami i kalamitami (rodzaj tataraku o grubym pniu i twardych liściach) olbrzymie lecz mało cieniste lasy. Panowanie ich rozciąga się na epoki węglową i Diasu a następnie jeszcze na część okresu mezozoicznego, mianowicie epoki Tryasu i Jury. Upada ono w epoce kredowej: wspaniałe drzewa nędznieją zwolna, kryjąc się w cieniu nowych władców roślinnych młodocianej ziemi—palm olbrzymich, a ilość ich maleje na równi z wielkością.

O ilości i rozmiarach ówczesnych gatunków paproci, oraz epokach, w jakich one żyły, powzięto wiadomości z odkrytych w łomach węgla kamiennego i gliny łupkowej skamieniałych osobników lub ich odcisków. Znajdują nieraz olbrzymie, na 6—7 metrów wysokie, pnie paproci drzewiastych, z korzeniami utkwionemi w łupku gliniastym a tonące szczytem w grubym pokładzie węgla kamiennego, powstałego ze zbitej masy ich uliścienia. Same liście bywają nieraz tak doskonale zachowane, że na dolnej ich stronie dojrzeć można zwęglanych kulek zarodni. Naliczono 500 gatunków tych skamieniałych paproci.

Obecnie istnieją 4000 gatunków paproci. Są one jednazarodnikowe, czyli lądowe, i różnorodnikowe, czyli wodne.

Paprocie lądowe dzielimy na 2 rzędy:

I. *Leptosporangiateae* o zarodni utworzonej z jednej komórki naskórka liściowego i której ścianka składa się z jednej warstwy komórek i

II. *Eusporangiateae*, których zarodnia powstała z kilku komórek i ma ścianki z kilku warstw komórkowych.

Do pierwszego rzędu należy przedewszystkim rodzina paprociowatych—*Polypodiaceae*, odznaczająca się charakterystycznym pierścieniem wokół zarodni, leżących w punktach rozgałęziania się nerwów.

Oto poszczególne jej gatunki:

Paprotka pospolita (*Polypodium vulgare*), rosnąca na skałach, murach i pniach drzew. Liście ma niewielkie, pierzasto wcięte; kupki zarodni nagie. Paprotka samcza, cz. zwyczajna (*Aspidium Filix mas*) o obfitych liściach, cienkich, wielkich, podwójnie pierzastych, o kupkach osłoniętych; pospolita nad strumieniami leśnymi.

Żebrownik kłosowy (*Blechnum Spicant*), rośnie w lasach górskich; liście pierzaste, kupki rozwijają się na ostatnim liściu wyprostowanym i są osłonięte zawijką.

Włoski murowe cz. złotowłos (*Adiantum Cappillus Veneris*) rośnie w południowej Europie w studniach kamiennych itp.; listki ma wachlarzowate, kupki osłonięte.

Zgasiewka pospolita (*Pteridium aquilina*) wzrasta na bagnistym gruncie w gajach i lasach, liście jej są potrójnie pierzaste, kupki osłonięte.

Podobna do niej północno-włoska *Pteris Cretica* — paprotnica kretańska—ma kupki bez zawijek.

Zanokcica właściwa (*Asplenium Ruta muraria*), wyrastająca ze szczelin murów i ruin, ma kupki początkowo tylko osłonięte, liście złożone.

Zanokcica skalna, cz. skalirzęs, inaczej śledzionka włosiasta (*Asplenium Trichomanes*), o drobnych, okrągłych listkach i kupkach podłużnych, osłoniętych, umieszczonych po jednej stronie nerwu, rośnie na skałach cienistych.

Do tegoż rzędu należy podeźrzon cz. długosz królewski (*Osmunda regalis*), przedstawiciel rodziny *Osmundaceae*, o liściach stojących, nieraz na 1 metr wysokich, pierzastych i kupkach na górnej ich powierzchni.

Drugi rząd (*Eusporangiateae*) pozbawiony jest pierścienia na zarodni. Należą tu dwie rodziny:



Paproć — Żebrownik kłosowy (*Blechnum Spicant*) — liść z kulkami.

Paproć — Żebrownik kłosowy (*Blechnum Spicant*) — liść jałowy.

Marattiaceae, zawierające wszystkie wielkie podzwrotnikowe paprocie i

Ophioglosseae — jęczyznikowate, do których należy jęczyznik pospolity (*ophioglossum vulgare*) o krótkiej łodydze i prostych liściach

i gronowiec pierzasty (*Botrychium*) o liściach pierzastych. Oba te gatunki mają przedrośle podziemne.

Paprocie wodne (*Hydropterides*) posiadają dwa gatunki zarodników, mieszczących się w zarodniach przy osadzie liścia: wielkie i małe zarodniki (*macro*—i *microspora*e). Pierwsze znajdują się w mniejszej ilości i wydają przedrośl, na której powstają później same rodnie; mniejsze w obfitszej ilości wydają jednokomórkową przedrośl o plemni dwukomórkowej. Jedne gatunki tych paproci mają osobne zarodnie dla wielkich, osobne dla małych zarodników. U innych zarodnie są wspólne.

Rozróżniamy tu 2 rodziny; 1) *Marsyliaceae* i 2) *Salviniaceae*.

Do 1-ej rodziny należą: marsylka cz. zeczownik (*Marsilea quadrifoliata*), rosnąca na naszych bagnach i oparzeliskach; łodyga jej pełzająca. Zarodnie w kształcie owoców wyższych roślin: woreczki zarodnikowe otoczone są galaretowatym pierścieniem, który, pęczniejąc, rozrywa owoc, ten, upadszy, pęcznieje i wysypuje zarodniki. Owoce te umieszczone są na odnóżkach wyrastających z ogonków liściowych. *Galuszka* (*Pilularia globulifera*) rośnie na bagnach, liście ma proste, linjowe, za młodu spiralnie zwinęte. Zarodnie zawierają jednocześnie wielkie i małe zarodniki.

Drugą rodzinę stanowią rośliny wolno pływające, np. wiąśl (*Salvinia natans*) o słabo rozgałęzionej łodydze i dwu gatunkach liści: jedne zielone, pływają po wodzie a drugie w niej się zwieszają na kształt korzeni; między nimi wiszą zarodnie, osobne dla wielkich i dla małych zarodników. Wiąśl żyje w jeziorach i stawach niemieckich, szląskich i na Pińszczyźnie.

J. W-a.



JÓZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce potym zaczęliśmy spotykać liczne stada bydła i koni albo pasące się opodal od jarmarku, gdyż step w pobliżu Gańdzura był już udeptany w tok, albo pędzone przez na-

bywców do Chajłaru, Cycykaru lub Błagowieszeńska, jako głównych miejsc sprzedaży inwentarza żywego. Oryginalne wrażenie robią tu stada owiec, które są bez wyjątku białe,

z czarnymi głowami, i mają charakterystyczne otłuszczenie ogona—„kurdiuk”.

Po przebyciu łańcucha wzgórz piaszczystych, stanęliśmy wreszcie pod Gańdżurem. Na obszernej równinie, na brzegu płytkiego jeziora, stało kilka zabudowań z cegły czerwonej, otoczonych sznurem. To Gańdżur właściwy—świątynia i obszerny klasztor mongolski. Opodal w odległości 1½ wiorsty, setki jurt wołokowych i wozów, ustawionych kołem—to miejsce jarmarku.

W chwili, kiedyśmy przybyli, jarmark miał się ku końcowi. Mongołowie, którzy sprzedali bydło, tudzież kupcy chińscy i rosyjscy, którzy poczynili byli zakupy, zwijali jurty i namioty i układali je na dwukołowe wózki mongolskie, zaprzężone w woły. Szeregi takich wozów ciągnęły we wszystkie strony, konwojowane przez konnych jeźdźców, a na niektórych wozach siedziały mongołki ze srebrnymi blachami w uszach i wyglądały główki kosookiej dzieciarni.



Mandżurki.

Na placu jarmarcznym dokonywane były jeszcze niektóre tranzakcje. Kupcy umawiali się o cenę, ilość głów, poczym siadali na konie i jechali w step dokonać wyboru z pasących się opodal stad. Ceny na bydło i konie, kupowane większymi partjami, wahały się od 30 do 50 rb., ale za wierzchowce wyborowe płacono 200 i 300 rb. Były to ceny wyjątkowe, wywołane przybyciem na jarmark kupców ruskich z Błagowieszczeńska, którzy, czyniąc duże zakupy, ogromnie podnieśli cenę.

Zanim rozejrzeliśmy się po jarmarku, przewodnik sprowadził już dzan-gina, który, uprzedzony o naszej misji, witał nas wraz ze swymi pomocnikami uprzejmie i zapraszał do swojej jurty. Do naszej grupy, stojącej pośrodku placu jarmarcznego, zbliżał się coraz to który z mongołów i, po przywitaniu z dzan-ginem, stawał, przypatrując się nam ciekawie. A sposób witania się mongołów jest także nie-

powszedni: po przykucnięciu na jedno kolano, na sposób chiński, witający się wyjmują z kieszeni lub z osobnej torebki, płaską, kamienną buteleczkę, tabakierkę, podają sobie wzajemnie i podnoszą do nosa, nie otwierając, poczym zwracają znowu. Jest to konieczna wymiana grzeczności.

Starszyzna jarmarczna miała swoje *locum* pod samym klasztorze, udaliśmy się tam więc konno. Pod klasztorze ulokowała się również część jarmarku, mianowicie handel produktami spożywczymi, bławatami i drobiazgami, obliczonymi na gust i potrzeby koczowników-mongołów.

W obszernej jurcie dzan-gina, wysłanej wołokami i futrami, zasiedliśmy w koło niskiego stolika, stojącego pośrodku. Po krótkiej chwili podano każdemu filiżankę herbaty cegiełkowej—z łojem. W rzeczywistości napój ten nie był jednak złym, przypominał on po prostu nieosoloną zupę mięsną. Następnie przyniesiono w kociołku gotowaną baraniinę. Palcami braliśmy kawałki mięsa, naśladując w tym gospodarzy, którzy zręcznie obcinali nożem, tuż przy ustach, zbyt duże kawały. Ponieważ mięso gotowane było bez soli, przeto w osobnych miseczkach podano nam polewkę, w której mięso się warzyło, i sól. W tę mocną osoloną „sorbę” maczoło się mięso przy jedzeniu lub się je polewką tą zapijało. Kości oddawano do ogryzienia — służbie, siedzącej tuż i przeprowadzającej wzrokiem każdy kasek, niesiony do ust.

Tymczasem dla nas przygotowywano dwie osobne jurty. Sposób budowy takiego „domu” nie jest skomplikowany. Skielet jego składa się z kilku części: ściany tworzy szereg zbitych na krzyż prętów, ustawionych kołem, a na to wkłada się rodzaj parasola, tworzącego dach. Wszystko to umocowywa się rzemieniami i przykrywa wołokami, zostawiając jeden otwór na górze, jako ujście dla dymu, a drugi z boku—na drzwi. Wewnątrz jurta wyścielą się również wołokami.

Po zainstalowaniu się w nowym mieszkaniu, poszliśmy przyrzeć się bliżej jarmarkowi. Z dużego placu jarmarcznego ubywało coraz bardziej jurt i wozów i tylko spóźnieni lub przyglądali się wyścigom rączych wierzchowców. Natomiast ożywienie duże panowało wśród jurt, gdzie sprzedawano tkaniny, siodła, herbatę, mąkę, noże mongolskie i t. p. towary. Zwiedziliśmy kilkanaście takich sklepów. We wszystkich siedzieli kupcy-chińczycy, rozmawiając z tłoczącymi się przed ladą mongołami, rozkładając przed nimi towary,

ważąc srebro. Obrachunek bowiem za nabyte towary dokonywany jest na srebro „jambowe”, t. j. stemplowane sztaby srebra, od których odcinane są kawałki w miarę potrzeby. Za jednostkę monetarną służy „łan”, t. j. 37.5 gramów srebra, wartości 1 r. 35 k. Rubel rosyjski, srebrny lub papierowy, jest także przyjmowany, ale drobne pieniądze—nie; wobec czego trzeba było się uciec do mongolskiej jednostki wymiennej—herbaty cegiełkowej, która ma w stepie obieg pieniężny. Cegiełka takiej herbaty kosztuje 1 „diao”, t. j. $\frac{1}{3}$ łana, ma przeto wartość 45 kop. I ta, naturalnie, jednostka jest jeszcze zbyt duża, to też kupcy wyzyskują tę okoliczność i resztę wydają towarami. Kupiłem, na przykład, nóż do zawieszania przy pasie, bez którego żaden mongol się nie obchodzi — jest to długi nóż w pochwie z dwiema pałeczkami, pełniącymi rolę widelca przy jedzeniu — za cenę 3 diao, czyli 1 r. 35 kop. Dałem na to rubla srebrnego i cegiełkę herbaty, co czyni 1 r. 45 k., resztę wydał mi kupiec w postaci 5 guzików blaszanych.

Poza tym kupno dokonywa się i na wymianę. Byliśmy świadkami, jak pewien mongol oddał skórę świeżo zarzniętego barana za słodkie ciastko, wartości 10 kop.

Prawie wszystkie towary, któreśmy widzieli, były pochodzenia chińskiego i zostały przywiezione przez Chajłar z Cycykaru, Mukdenu i Inkou. Wyjątek stanowiły niektóre tkaniny bawełniane, wyrobu angielskiego lub japońskiego, dostarczone przez komisjonerów-chińczyków.

Wieczorem dzan-gin ze sztabem swoim rewizytowali nas. Podejmowaliśmy ich herbatą, bułkami i benedyktynem. Gościom, nie znającym pieczywa, bułki nasze smakowały ogromnie, ale benedyktyń „przepalał wnętrzności”. Nie przeszkodziło to jednak mongolowi, którego dzan-gin delegował nam do posług, powylizywać skrzętnie wszystkie kieliszki, zanim je wziął do mycia.

Noc w jurcie spędziliśmy o wiele wygodniej, niż w stepie pod otwartym niebem i, chcąc zaznać dostępnego w tych warunkach komfortu, kazaliśmy nawet zrana rozłożyć wewnątrz ognisko, aby ubierać się w ciepło. Dym z argału zmusił nas jednak znowu wyrzec się tej przyjemności i zdziwiony „nuchur” — przyjaciel (tak się woła na służącego) zmuszony był wygarniać rozżarzone węgle na ulice.

Ponieważ nasze zapasy żywności były już na ukończeniu, poleciłem przeto z wieczora kupić barana. Kiedyśmy zrana wyszli przed

juritę, zabijano go właśnie i tu mieliśmy sposobność zapoznać się z mongolskim systemem rzezi, który polega na tym, że nożem robi się dziurę w brzuchu barana, wsuwa się tam rękę i wyrwa serce. Sposób ten widziałem następnie stosowany i na wołach, i przyznać muszę, że, pomimo pozorów, nie jest on bardziej barbarzyńskim, niż nasze ogłuszanie i zarzynanie bydłęcia. Operacja wprawdzie trwa chwilę i śmierć następuje odrazu.

Przedpołudnie poświęciliśmy zbieraniu danych o obrotach jarmarku, cenach na bydło, konie i t. d., za pośrednictwem zarówno dzan-gina, jak bezpośrednio od kupców. Ogółem przypędzono na jarmark tegoroczny, jak się okazało, przeszło 30 tys. głów, w tym około 20 tys. baranów; w latach poprzednich zaś ilość ta była, podobno, jeszcze znacznie większa.

Na obiad uczył nas B. kurdiukiem który zapiliśmy „chanszynem”, czyli nieoczyszczoną wódką chińską, pędzoną z pewnego gatunku prosa, zwanego „gaolan” (*Holcus sorghum*). Wódkę tę podają gorącą i piją małymi dawkami. Nie jest ona mocna, ale, zawierając dużo olejków fuzlowych, działa szkodliwie na organizm.

Po obiedzie skorzystaliśmy z wpływów dzan-gina, aby otrzymać wstęp do świątyni i klasztoru. Stosownie do zwyczaju, posłaliśmy przeze wszystkich dwom starszym lamom („szyre-lama”), podarek „chodak” — składający się z 2 chustek jedwabnych. Przed klasztorem i w dziedzińcu stali tłumnie lamowie wieku najrozmaitszego, wszyscy z ogolonemi



Samotna świątynia i klasztor mnichów lamaickich.

głowami, w długich opończach czerwonych, żółtych lub brązowych, z przerzuconemi przez lewe ramię płachtami, również kolorowemi. Niektórzy z nich, zwłaszcza opaśli, przyponinali w tym ubraniu rzymian w togach, podobieństwo zaś było tym większe, iż kilku nosiło hełmy kształtu epoki cesarów.

Na krużganek świątyni wchodziło się po kilku wschodach. Na krużganku stały dwa młyny modlitewne, na których wypisana była

modlitwa, a każdy obrót młyna równał się powtórzeniu tej modlitwy. Dwaj lamowie zajęci byli właśnie starannym obracaniem tych osobliwych przyrządów modlitewnych przez całą szerokość budynku.

Wewnątrz świątynia była, jak zwykle, podzielona na dwie części: w pierwszej stały ławy dla lamów i rodzaj tronów dla dwóch starszych z pomiędzy nich, a w drugiej — na drugim ołtarzu — burchany i ofiary przed niemi, w postaci ryżu: w miseczkach, ciasta jakiegoś i podarowanych przez nas chustek oraz rubla w srebrze.

Niebawem po naszym przyjsciu zaczęto dość energicznie spędzać lamów do świątyń na nabożeństwo. Kiedy się wszyscy usadowili ukazali się dwaj przełożeni klasztoru, „hombo” poważni starcy, i zajęli miejsca na tronach. Niezwłocznie też rozpoczęło się nabożeństwo. Lamowie starsi zaintonowali śpiew, który podchwyciła reszta, i wkrótce świątynia rozbrzmiewała modlitwą, śpiewaną na nutę taką, jaka się komu podobała. Śpiewowi zaczęły następnie wtórować dzwonki, dalej kotły, w końcu trąby długie na całą szerokość świątyni i spoczywające na specjalnych podpórkach. Wynikł z tego hałas piekielny, który czasami milkł, poczym zrywał się z nową siłą. W przerwach roznoszono lamom herbatę.

Nie czekając końca nabożeństwa, poszliśmy obejrzeć klasztor. Po bokach świątyni głównej stały dwie mniejsze kaplice z wyobrażeniami Buddy, niezawsze skromnemi. Budynki, w których się mieścili lamowie, były niezbyt liczne i obszerne. Z pomiędzy bowiem 2000 lamów, należących do klasztoru gańdzurskiego, mieszka w nim stale zaledwie 150—200, reszta zaś rozrzucona jest po rozmaitych koczowiskach i zbiera się do klasztoru tylko w pewnych chwilach uroczystych, np. podczas jarmarku. Lamowie utrzymują się wyłącznie z ofiar; a musi być tych ofiar dużo, jeżeli się zważy, że prawie każda rodzina czyni jednego z synów lamą, co sprawia, że jeden lama przypada na 5—7 wiernych. Reguła zakonna lamów nie jest zbyt uciążliwą: poza praktykami religijnymi wymaga bezżeństwa mnichów, a zabrania: używania napojów wy-

skokowych, pozbawienia życia jakiegokolwiek stworzenia, nawet pasorzytów, i kłamstwa.

Po wypiciu herbaty, uprzejmie nam zaproponowanej przez lamów, wróciliśmy do naszych jurt, gdzie czekały już osiodłane konie. Pożegnaliśmy się z dzan-ginem. Kiedyśmy wsiadali na koń, przyniesiono od lamów podarunek — dwa pudełka ciastek chińskich, przygotowanych na oleju sezamowym (*Sesamum orientale*).

Ponieważ, stosownie do marszruty, wracać mieliśmy nie na Chajtar, ale na Cagan, przeto rozstaliśmy się tu z dotychczasowym przewodnikiem-chińczykiem, a wzięliśmy nowego, burjata, który, zamarudziwszy na jarmarku, dopędzał właśnie partję baranów, zakupionych przez jego chlebowawcę, kupca z kraju Zabajkalskiego.

Z Gańdzura wyjechaliśmy koło godz 4-ej po południu, po 3 godzinach przeto jazdy zatrzymaliśmy się na noc koło małej studzienki, schowanej wśród wzgórz piaszczystych. Noc przeszła spokojnie.

Tegoż dnia mieliśmy po raz pierwszy sposobność spotkać się z jedynym tu gatunkiem antylopy „dzere-dzere” (*Antilope gutturosa*). Spotykaliśmy kilkakrotnie te płowe stworzenia, stadami po 100—200 głów, ale niebliżej jak o kroków 600—700. Stały one spokojnie, ze zwróconemi w naszą stronę głowami, ale, gdyśmy próbowali podjechać bliżej, pierzchało całe stado i zatrzymywało się daleko, zaledwie widoczne na widnokręgu. Raz tylko mieliśmy je na strzał, kiedy burjat-przewodnik, zoczywszy antylopy, zatoczył duże koło i począł napędzać je na nas. Stado rozbiło się na kilka części i 4 antylopy przebiegły koło nas, ale z taką szaloną szybkością, że nie było sposobu wziąć je na cel. Daliśmy kilka strzałów, ale bez skutku. Bez skutku również pozostała strzelanina ze sztucerów do stada o kroków 600. Ponieważ na tej odległości nie można było brać na cel jednej sztuki, strzelaliśmy przeto w kupę salwą, na komendę. Skutku widocznego żadnego, z ruchu stada, rozpraszającego się w rozmaite strony, mogliśmy jedynie sądzić o tym, że kule kładły się prawidłowo.

(C. d. n.)



Książki i Czasopisma.

Fotograf warszawski. Zeszyt 7-my (lipcowy) r. 1904. Słów parę o Ojcowie, przez Stanisława Hertza, z 4-ma, doskonale wykonanemi, zdjęciami. P. St. Szalay rozwija dalej rzecz o fotografowaniu przy sztucznym świetle, objaśniając wykład licznemi rysunkami. Inżynier-chemik, p. O. Lebedziński, pisze o „Katotypji”, t. j. o sposobie kopjowania obrazów fotograficznych bez udziału światła, wynalezionym przez prof. Ostwalda i d-ra Grosa w Lipsku. Obfity dział wiadomości drobnych i kronika dopełniają całości zeszytu.

Wiadomości fotograficzne (lwowskie) zeszyt 14-ty (rocznik II-gi).

P. Antoni Fiedler z Poznania daje krótki rys krytyczny 1-ej wystawy fotografii amatorskiej w Poznaniu. P. Leon Halpern z Warszawy opisuje rad, jego historję i własności. P. Józef Świtkowski z Pustomyt rozpoznaje „edinol”, jako wywoływacz.

Drobne przepisy, rozmaitości i biblijografja dopełniają całości zeszytu, ozdobionego 4-ma pięknymi światłodrukami na oddzielnych kartach.



Od Redakcji.

Znany zaszczytnie uczony, dziejopis, etnolog, publicysta, **Ernest Sulimczyk Świeżawski** wzbogacił nasze pismo *monografią z dziejów etnografji, obyczajowości i przyrody.*

Rzecz tę rozpocznie wstęp, jako przyczynie ruchu literackiego, charakteryzującego względną starożytność gwarą tego zakątka tatrzańskiego, oraz architekturą.

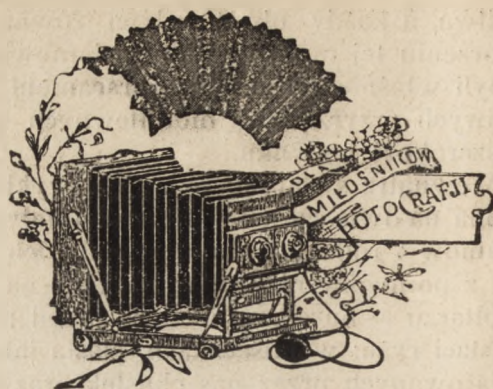
Do następnych szkiców wejdą, na tle przyrody społecznej:

1) kapłani (czarodzieje, lekarze, uczeni, wróżbici) i wodzowie, jako pierwsi twórcy społeczeństw obok otoczenia przyrodniczego;

2) ślady matryjarchatu, organizacji macierzystej;

3) pierwotni słowianie na ścieżce wojennej.

Nie wątpimy, że szanowni czytelnicy przyjmą zapowiedzianą pracę z żywym zadowoleniem.



Nowy sposób sporządzania barwnych odbitek przedstawił dr. E. König na posiedzeniu Towarzystwa pielęgnowania fotografii we Frankfurcie. Znalazł on spólnie z d-rem Homolką barwki, zabarwiające się w świetle wprost żółto, czerwono i niebiesko. Połączenia te rozpuszczają się w kolodjonie, mogą więc w ten sposób być sporządzane warstwy czułe na papierze i t. p. Odbitki utrwalają się rozcieńczonemi kwasami. Czułość warstw jest większą od papierów celloidynowych a trwałość przewyższa cyanotypję. Dr. König przedłożył w Towarzystwie kilka prób z zastrzeżeniem, że wynalazek nie jest jeszcze zupełnie opracowany.

„Wiad. fotogr.”

Ułatwienie przy nastawianiu widoków. Wiadomo, że widoki na matówce łatwiej dają się ocenić co do wartości tonów za pomocą okularów niebieskich lub szarych. Ten sam cel da się osiągnąć, według d-ra E. Buchnera, gdy cienką płytę diapozytywową, po utrwaleniu i wymyciu, włożymy na kilka minut do roztworu nigrozyny albo atramentu alizarynowego, a następnie wysuszymy. Tak otrzymaną blade-niebiesko-szarą płytę przymocowuje się od strony wewnętrznej na matówce a cel powyższy osiągnięty.

„Wiad. fotogr.”

Binokle teatralne jako obiektyw fotograficzny. Inżynier Fr. Lohe we Freiburgu sporządził przyrząd do automatycznego połączenia kamery z binoklami teatralnemi. Oddalone widoki, domy i t. p. można uzyskać w trzykrotnym powiększeniu zupełnie ostro i plastycznie.

„Wiad. fotogr.”



ROZMAITOSCI.

Samochody w służbie straży ogólnowej. Dwutygodnik rosyjski „Automobil” donosi, że oddział aleksandro-newski straży ogniowej w Petersburgu posługuje się od miesiąca, przy wyjazdach do miejsca pożaru — samochodem. Wiezie on 8-miu strażaków, z brand-

majstrem i maszynistą. dużą drabiną i wszystkie najniezbędniejsze przyrządy. Chyżość samochodu z całym tym ciężarem nie przewyższa, na razie, 15-tu wiorst na godzinę, tym niemniej przybywa on na miejsce o kilka minut wcześniej, niż tabor, wieziony końmi. Zyskuje się przytym na szybszym pogotowiu do wyjazdu. Konie trzeba wyprowadzać ze stajni i zaprzęgać, gdy na wyjazd samochodu—dość pokręcenia rękojeści. Podczas alarmu, samochód przybył na drugi koniec miasta w 20 minut, gdy końmi odbywa się tę drogę w ciągu 38 minut. Samochody do użytku straży ogniowej wychodzą dotychczas jedynie z fabryki Frese i S-ka w Petersburgu. Szczególnie użyteczne mogą być samochody dla straży ogniowych na prowincji; straże te, nie posiadając własnych koni, poprostu muszą walczyć z mieszkańcami o dostawę koni podczas pożarów; samochód zaradzi złemu, a może służyć na długie lata, wobec rzadkich stosunkowo pożarów i przy jakich takich staraniach o utrzymanie go w porządku. Ameryka, Anglja, Francja, Belgja, Niemcy wprowadziły samochody do ryszpunku straży ogniowej. Sprawę tę powinien szerzej poruszyć miesięcznik specjalny, „Strażak”.



Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo.”



„Restado estas morto.”

„Grupy“, „Kluby“, „Towarzystwa“ Esperantyczne.

(Ciąg dalszy.)

Dijon. Założone tu w styczniu 1901 roku, Towarzystwo dla propagandy języka Esperanto, należy do najświetniej rozwijających się Towarzystw Esperantycznych. *Prezydent honorowy* Towarzystwa (b. jego prezes rzeczywisty i jeden z najbardziej zasłużonych propagatorów języka Esperanto): Czł.-koresp. Akademji Francuskiej oraz prof. Uniw. dizeńskiego, dr. Charles Méray. *Prezes urzędujący*: prof. Uniw. dr. Charles Lambert, „Maitre de Conférences à la Faculté de Lettres“, 10 Rue Berlissey, 10. *Wice-prezes*: prof. Uniw. dr. Félix Lallemand, 13 Rue Charles de Vergennes, 13. *Sekre-*

tarz jeneralny: dyrektor André Jullien, Place Sainte-Etienne, 6.

Niezależnie od powyższego Towarzystwa, redakcja francuskiego przeglądu pedagogicznego: „*Mnuel général de l'instruction primaire*“, zorganizowała w Dijon „Sekcję Esperantyczną“ Towarzystwa pod nazwą: „*Correspondance Pédagogique Internationale*. *Prezesem* Sekcji, o której mowa, jest wielce zasłużony esperantysta, prof. E. Broirac, rektor Uniwersytetu dizeńskiego. *Sekretarzem*: J. Fevre, prof. Seminarjum Nauczycielskiego 12, Rue Vauban, 12.

***Dover** (Anglja)—*Sekretarz* Towarzystwa: H. R. Geddes, dyrektor Towarzystwa: „Continental Express“, Northumberland House.

***Elbeu** (Francja)—*Prezes* Towarzystwa: Maurice Lefevre, 42 Rue de la Barrière, 42. *Sekretarz*: M. Desprez, nauczyciel miejscowej Szkoły Rękodzielniczej, 34 Rue de Caudebac, 34.

***Fontainebleau**. *Prezes* Towarzystwa: dr. M. Lapeyre, *Sekretarz*: Eug. Guérin, 22 Rue de la Cloche, 22.

***Hernösand** (Szwecja)—Towarzystwo Esperantyczne przy tamtejszym Towarzystwie wstrzeźliwości. *Prezes*: Adolf Ortenberg.

***Hford**. Essex (pod Londynem)—*Sekretarz* Towarzystwa: W. A. Jeffery, 42 Park Road, 42.

***Karlstad** (Szwecja)—Towarzystwo Esperantyczne, przy gimnazjum tamtejszym. *Prezes*: Hjalmar Andersson 20, Hagana, 20.

Kazanlyk (Bułgarja) Towarzystwo pod nazwą: „Rozawalo“, „Dolina Róż“. *Prezes*: St. Apostołow. *Sekretarz*: An. Iw. Edref.

***Laon** (Francja)—*Sekretarz* Towarzystwa: Raphaël Caby, Mons-en-Laonnois.

***Laufen-Laufond** (Szwajcarja) — *Prezes* Towarzystwa: pastor Fr. Scheeberger.

***Liverpool** (Anglja)—*Sekretarz* Towarzystwa: R. E. Issot, 5 Gresham Street 5, Edge Lane.

***Loudun** (Francja)—*Prezes* Towarzystwa: dr. P. Gambier, 2 Rue Porte-Saint-Nicolas, 2. *Wice-prezes*: M. Legay, prof. Filozofji w Kolegium miejscowym. *Sekretarz*: M. Rimbart.

(D. c. n.)

abb.



Do potrzebnych podań szkolnych wykonywa w 3 dni fotografie dla uczni i učenic

K T O ? ! !

Fotograf IGNACY KACHEL

ulica Chmielna Nr 33. (trzeci dom od rogu Marszałkowskiej).

Z USTĘPSTWEM 20%.

6—2

DLA UCZNI!

I UCZENICI

Odpowiedzi Redakcji.

W-ny „Prenumerator z Brzezina”. Talya miasteczko w hrabstwie ziemneńskim (Zemplin, Węgry w Hegjalji.)

W-ny S. Sam. w Szechrzeszynie I bez konkursu fotograficznego, którego w tym roku nie ogłosimy, może Szanowny Pan zasilić swoje „mile pisemko” widokami swych okolic, typów ludowych, grup i t. p. Przyjmujemy z serdeczną podzięką. Blankiet żądany wysłałiśmy.

W-ny Z. Jezierski w Laojanie (stacja kolei wschodnio-chińskiej). Numer żądany ze spisem wydawnictw do nauki języka „Esperanto” wysłałiśmy.

W-ny Piotr Hryniewiecki w Pokrożeńcach przez Carycyn. Przeszłe półrocze rb. 2 kop. 40, z „Biblioteką podróży” o rb. 1 kop. 25 drożej. Mamy i roczniki (ubiegłych dwóch lat) po rb. 5 z przesyłką. Spis wydawnictw naszych znajdzie sz. pan na okładce.

„Postępowiec” w m. W Petersburgu istnieje klub „automobilistów”; adres: Nowinski bulwar, dom Kniażewowej. Składka roczna rb. 40. Czy przyjmuje członków zamiejscowych, rzecz bardzo wątpliwa.

Od Administracji tygodnika „NAOKOŁO ŚWIATA.”

Upraszamy szanownych P.p. Prenumeratorów miejskich o składanie przedpłaty za kwartał bieżący w Administracji pisma (Hoża 52, m. 4.), albo **na ręce roznosicieli, za kwitem sznurowym z pieczętką Administracji.** Prócz roznosicieli nikogo innego nie upoważniamy do pobierania prenumeraty, o ile ta nie wpływa za pośrednictwem Księgarń miejscowych.

Administracja.

WYPRAWY KUCHENNE

Wybór wielki, ceny niskie.
W. KOŁTUNOWICZ
 Nowy-Świat Nr. 30
 (róg Foksalu).

DLA TEGO NAJTANIEJ! dywany, portjery, firanki, serwety, kapy, kołdry watowe i pluszowe, chodniki, plusze, gobeliny, burety itp. **ŻE NA I-em PIĘTRZE** w składzie **Henryka Radeckiego.** Marszałkowska 112, 1-e piętro, przy ulicy Chmielnej.

Treść № 32. Żyrardów, przez *Karola Hoffmana* (z rysunkami).—Indje, przez *Piotra Loti'ego*, tłumaczył *Józef Jankowski*.—Zejdźcie do ludu!..—Z podróży do Afryki, przez *Leopolda Janikowskiego*.—Paprocie, przez *J. W-a* (z rysunkami).—Na Dalekim Wschodzie, przez *Józefa Gieysztorę* (z rysunkami).—Książki i Czasopisma —Od Redakcji. —Dla miłośników fotografii.—Rozmaitości —Kronika esperantyczna, przez *abb.*—Odpowiedzi Redakcji.—Ogłoszenia.

Treść „Biblioteki ilustrowanej podróży i powieści.” Rozbójnik Marko, przez *L. Boussenarda*, tłumaczyła *M. Naimska* (str. 101–108).—Tajemnica burzy morskiej, przez *Sylwana Cobba* (str. 41–48).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata”: w Warszawie rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2.50, kwartalnie rb. 1.25. Za granicą rocznie rb. 6; wraz z „Biblioteką ilustrowaną podróży i powieści”: w Warszawie rocznie r. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50.—Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb. 7 kop. 50, półrocznie rb. 3 kop. 75, kwartalnie rb. 1 kop. 88. Za granicą rb. 9.—Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie.—Zmiana adresu kop. 20 —Cena numeru kop. 10.

Agientura w Łodzi:
 Księgarnia L. Fiszera,
 Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.

Agientura w Częstochowie:
 Księgarnia J. Nowickiego i S-ki,
 Aleja II № 43.

Wydawca: Antoni Orłowski.

Za redaktora: Antoni Orłowski.